

„Radosław” na Mokotowie, czyli psychologia w badaniach historycznych. Studium przypadku



SEBASTIAN PAWLINA

„Radosław” na Mokotowie, czyli psychologia w badaniach historycznych. Studium przypadku

„Wojna ludzi nie żywi, jeno morzy”, pisał w *Ogniem i mieczem* Henryk Sienkiewicz. Nie on pierwszy i nie on ostatni na kartach swoich powieści przemyślał prawdę o wojnach. Prawdę banalną, ale do dzisiaj mającą silną konkurencję w postaci romantycznych i heroicznych mitów budowanych czy to przez literaturę, kino, gry komputerowe, czy przez polityków i urzędników, dla których wojna jako okazja do rzekomego wykazania się, uwypuklenia najlepszych cech, a w końcu spełnienia obowiązku wobec ojczyzny i bliskich, jest niczym więcej jak tylko narzędziem. Narzędziem stosowanym w dowolny sposób, służącym do zrealizowania doraźnych celów. Tymczasem jak stwierdza w swoich wspomnieniach Aleksandar Hemon,

amerykański pisarz pochodzący z Bośni, „wojna jest czymś najzupełniej konkretnym, obłąkaną rzeczywistością, która i wewnątrz, i zewnątrz zrównuje z ziemią” (Hemon 2015, s. 122).

We współczesnej literaturze polskiej motyw wojny, najczęściej II wojny światowej, pojawia się względnie często. Wystarczy wymienić *Tworki* Marka Bieńczyka, *Morfinę* oraz *Królestwo* Szczepana Twardocha, *Hanemanna* Stefana Chwina, *Górę Tajget* Anny Dziewit-Meller czy kolejne dzieła Wiesława Myślińskiego, który nie pisząc o samej wojnie, wraca do niej pojedynczymi scenami. Tak się dzieje w najnowszym *Uchu igielnym*, gdy jeden z bohaterów, opowiadając o swoich przeżyciach jeszcze z czasów I wojny światowej, mówi, jak to jednej nocy przyśnił mu się porucznik, który tak nieszczęśliwie potknął się podczas ataku, że upadł na bagnet. We śnie „wyciągnąłem z niego bagnet, a ten wstał i mówi, o, ulżyło mi. Głęboko mnie pchnąłeś, ale bez krwi lżej się żyje. I rozejrzał się wokół po śniegu, chyba wszystko już ze mnie wyciekła. A nie dalej jak przedwczoraj armaty tak się na nas uwzięły, że chcę się zbudzić, a nie mogę, zabite ciała przywalały mnie, a nie mogę, krzyczę, zbudźcie mnie...”.

Tamte sceny: obrazy umierających, nawały ogniowe, wilgoć okopów, wracały do niego. Nie chciały go zostawić, choć może należałoby raczej napisać, że to on nie potrafił o nich zapomnieć. Wojna jako zjawisko skrajne pozostawia bowiem swój ślad w ludzkich umysłach. Jak stwierdza Stanisław Ilnicki, założyciel Kliniki Psychiatrii i Stresu Bojowego w Warszawie, rany mózgu to nie metafora literacka, ale fakt naukowy (Ilnicki 2010, s. XIII).

W polskiej historiografii poświęconej wojnie jako zjawisku problem ten jest poruszany rzadko, może wręcz za rzadko. Odpowiednio postawione pytania i przeprowadzone na ich potrzeby badania, nawet jeśli tylko szczątkowe, pomogłyby lepiej zrozumieć znane już wydawałoby się wydarzenia. Żeby się o tym przekonać, wystarczy sięgnąć do historii uznawanej za obszernie opisaną – do Powstania Warszawskiego. Spróbujmy więc

bliżej przyjrzeć się jednemu z jego epizodów. Pamiętajmy przy tym, że to jedynie propozycja badawcza, wymagająca dalszych, pogłębionych studiów i analiz.

Ludzkie cienie

Cofnijmy się do lata 1944 r., a dokładnie do momentu, kiedy rankiem 20 września na warszawskim Mokotowie z kanału zaczęli wychodzić obrońcy Czerniakowa. Ostatnie kilka godzin spędzili pod ziemią, brnąc przed siebie w chłodnej mazi, cuchnącej i lepiałej się do ubrań oraz ciała – do wszystkiego. Musieli się wspinać po linach, przechodzić przez postawione przez Niemców barykady, unikać szczurów, schylać się, wspomagać słabszych. Nic dziwnego w takiej sytuacji, że mieli dosyć. Ranni, niektórzy wielokrotnie, skrajnie wyczerpani brakiem snu, jedzenia i wody, mający za sobą kilka dni nieustannych walk w obronie Czerniakowa, mieli nadzieję znaleźć na Mokotowie chwilę spokoju. Z takim samym nastawieniem wielu z nich przechodziło wcześniej z Woli na Starówkę, potem do Śródmieścia i na Czerniaków. Wszędzie na początku było zielono i radośnie. W oknach błyszczały szyby, na drzewach rosły liście, a ludzie, czyści i dobrze ubrani, uśmiechali się. I za każdym razem te niemalże sielskie obrazy ulegały zagładzie. I oni, weterani Zgrupowania „Radosław”, wiedzieli, że tak będzie i tym razem. Ale przez moment o tym nie myśleli.

Andrzej Borowiec „Zych” z batalionu „Zośka”, wówczas niespełna 16-latek, notował po latach:

wyszliśmy na powierzchnię ku jasnemu, wesołemu porankowi, pełnemu promieni słonecznych i śpiewu ptaków. Na wschodzie, po stronie słońca, za rzędem drzew stały małe domy. Za nimi terkotał karabin maszynowy i wybuchały pociski moździerzowe. Usiadłem na pniu i wylałem błoto z butów. Czuwał nad nami uśmiechnięty powstaniec ubrany w szary kombinezon Luftwaffe i uzbrojony w pistolet. Dziewczyny z czystymi włosami rozdawały kubki ciepłych napojów – kawy albo herbaty. Nieważne. Była ciepła. A ja chciałem tylko spojrzeć w niebo.

(Borowiec 2017, s. 322)

Bardzo podobnie wspominała tamte „beztroskie” chwile Anna Wyganowska-Eriksson „Ania” z plutonu pancernego – wówczas pancernego już tylko z nazwy:

Przysiadłam obok kolegów. Świeży powiew ciepłego wiatru trzepocze liśćmi drzew. Dawno niekoszona trawa błyszczący w słońcu dojrzałą zielenią. Jasne, całe domy i szyby w oknach, na balkonach kwiaty. W górze błękit nieba i rozproszone pierzaste obłoczki. Kolorowy radosny dzień pozdrawia nas bogactwem barw. Jak pięknie jest wokoło. Jaki cudowny, inny świat! Wśród jasności krajobrazu ciemna ruchliwa plama bije w oczy kontrastem. To my, żołnierze o bladych, umorusanych twarzach, w spodniach, z których spływają resztki zimnego błota ścieków. Jedni z nas usiłują doprowadzić siebie do jakiego takiego wyglądu, drudzy pieczołowicie oglądają zabrudzoną broń (Wyganowska-Eriksson 2010, s. 395)

Podobnych opisów jest więcej. Mniej lub bardziej, wszystkie idealizują tamten Mokotów. Jego obraz w drugiej połowie września wcale nie był tak doskonały. Dzielnica od wielu dni musiała sobie radzić z narastającym ostrzałem i ponawianymi szturmami oddziałów wroga. W niedzielę 17 września w meldunku dowódcy AK do naczelnego wodza donoszono, że na Mokotowie „odparto natarcia nplą od wschodu, wsparte 8 czołgami i Ju 87 na nasze stanowiska ryglujące w rejonie Belwederskiej, Dolnej i Piaseczyńskiej. Własny baon po walkach opuścił Solec z dużymi stratami i po utracie prawie całej kadry dowódczej” (Majorkiewicz 1972, s. 218). Dzień później informowano, że „npl po zlikwidowaniu naszego słabego oddziału opanował Fort Legionów Dąbrowskiego”.

To wszystko nie miało jednak znaczenia. Dla tych ludzkich cieni Mokotów jawił się jako raj – spokojny i cichy. Oni zaś przez pierwsze godziny po ucieczce z piekła Czerniakowa potrzebowali miejsca, gdzie mogli złapać oddech, umyć się, wyspać, coś zjeść – bez obawy, że za chwilę spadnie im na

głowy deszcz ołowiu. Toteż dopóki mogli, korzystali z okazji. Jeszcze przed początkiem niemieckiego szturm trzech oficerów od „Radosława”, Janusz Stolarski „Mały”, Leszek J. Wójcicki „Leszek” i Sergiusz Szoryn „Bończa”, zostało zaproszonych na przyjęcie. Skromne, ale jak na warunki powstańcze i tak imponujące. Był więc koncert, a w przerwie zakąski i napoje. Całą sytuację podsumował „Mały”, wypowiadając – według relacji „Leszka” – słowa: „No, to jest życie towarzyskie [...]. A u nas co? Dorwie się chłop do butelki wódki i z rozpaczy wychła ją sam na sam” (Wójcicki 1985, s. 124).

Zdrajcy historii czy jej ofiary?

To, co pół żartem, pół serio przedstawił w swoich zapiskach Wójcicki, dla innych autorów stało się tematem poważnej dysputy na temat postawy ludzi „Radosława” w ostatnich dniach walk. Już w 1946 r. Jerzy Pytlakowski „Ignac”, w Powstaniu Warszawskim żołnierz Grupy Artyleryjskiej „Granat”, w swoim quasi-reportażu z powstańczego Mokotowa poświęcił podwładnym Jana Mazurkiewicza cały rozdział. Pisał w nim m.in., że „sprzeniewierzyli się historii, chociaż mogli się stać jej głównymi bohaterami. Na Starówce zaczęła się ich wielkość i skończyła. A przecież na Czerniakowie mogło się wydarzyć coś znaczniejszego niż bohaterska klęska. Z Czerniakowa mogło wyjść bohaterskie zwycięstwo na całą Warszawę” (Pytlakowski 1946, s. 90).

Jeszcze surowszy sąd wydał akapit wcześniej: „Tak skończyła się epopeja ludzi, których los obarczył obowiązkiem spełniania największych czynów i którzy na Czerniakowie zbuntowali się przeciw temu nakazowi. Zdołali zejść z wyznaczonej drogi, lecz nie wyszło im to na dobre. Przeżyli swoje bohaterstwo, porzucili je. Rozmyślnie zmienili wielkość na szare, drobne, niepotrzebne postęпки”.

Wśród tych postępków, o których czytamy w relacji „Ignaca”, było np. zajmowanie się zamiast walką zdobywaniem pożywienia. Mieli nie robić nic innego, jak tylko siedzieć po piwnicach,

by je opuścić rzekomo jedynie po to, żeby znaleźć jedzenie. Pytlakowski wprost pisał, że „prowadzili wykwinną kuchnię”. I to wtedy, kiedy reszta dzielnicy głodowała. Wyraźnie oburzony ich postawą, nazwał ich wręcz „lisowczykami”.

Kwestia wyżywienia oddziałów czerniakowskich na Mokotowie została w tej relacji spłycona. Z podobnym problemem musiały bowiem radzić sobie wcześniej wszystkie dzielnice przejmujące oddziały wycofujące się z innych rejonów miasta. Zarówno na Starówce, w Śródmieściu, jak i na Czerniakowie uciekinierzy trafiali w pustkę aprowizacyjną. Lokalne władze nie były w stanie zapewnić im pożywienia. Oficjalnie nie pozwalano na samodzielne zdobywanie zapasów, ale dowódcy kompanii i batalionów, widząc stan swoich ludzi, po cichu im na to zezwalali. Mokotów nie był wyjątkiem.

Mylił się natomiast Pytlakowski całkowicie wówczas, gdy zarzucał weteranom Woli, Starówki i Czerniakowa niewielki udział w obronie Mokotowa. Z około 200-osobowej grupy, jaką przyprowadził kanałami, Mazurkiewicz wystawił oddział liczący 47 ludzi, czyli blisko 1/4 stanu (Wójcicki 1985, s. 125). Jak na ludzi całkowicie wyczerpanych blisko dwoma miesiącami ciężkich walk, wynik ten należy uznać za bardzo dobry. O znaczeniu plutonu dowodzonego przez Janusza Stolarskiego może świadczyć to, że oddano go pod bezpośrednie rozkazy dowódcy dzielnicy, Józefa Rokickiego „Karola”. Jako jego osobisty odwód pluton brał udział w walkach m.in. o Królikarnię czy w obronie włączów kanałowych, odpierając samodzielnie szturm kolumny czołgów.

Ale i Rokicki nie ukrywał po wojnie, że pewne zachowania podwładnych „Radosława” wzbudzały jego niepokój. Poza samowolą w wyszukiwaniu sobie lokali do odpoczynku oraz pożywienia poważnym kłopotem stał się ich defetyzm, którym zarazili część oddziałów lokalnych oraz ludność cywilną. W swoich wspomnieniach „Karol” notował: „niewątpliwie ciężkie ich przeżycia na Górnym Czerniakowie sprzedawane były społeczeństwu mokotowskiemu w formie opisów przerażających

bestialstw niemieckich, dokonywanych na żołnierzach i ludności cywilnej (np. powieszenie kapelana wojskowego i rozstrzeliwanie żołnierzy AK wziętych do niewoli). Wyczerpana ludność i żołnierze Mokotowa słuchali tych relacji naocznych świadków z lękiem i grozą; naprawdę nie wpływały one budująco ani uodporniająco na psychikę oblężonych” (Rokicki 1949, s. 139).

Żeby zapobiec pogłębianiu się kryzysu, Rokicki polecił Janowi Dobraczyńskiemu, szefowi mokotowskiego Biura Informacji i Propagandy, aby przygotował dla ludności i wojska rozkaz rozwijający w dramatyczny sposób hasło: ani kroku w tył. Wiedział, że w obliczu zbliżającego się uderzenia będzie potrzebował nie tylko siły ognia, lecz także odpowiedniego nastawienia w swoich oddziałach. Autor *Cienia Ojca* po latach przyznał, że jego wysiłki wobec opowieści radostawowców niewiele mogły zdziałać. Był wręcz przekonany, że nic to nie da. Już jeden taki rozkaz pisał – trzy tygodnie wcześniej na Starym Mieście, kilka dni przed jego upadkiem.

Jednak tym, co najważniejsze w jego zapiskach, jest zrozumienie tych ludzi. Dobraczyński, być może nieświadomie, opisał bowiem psychikę żołnierza powstańczego z imponującym wyczuciem: „Byli to na pewno najlepsi żołnierze powstania. Najodważniejsi z odważnych, najofiarniejsi z ofiarnych. Ale walczyli zbyt długo. [...] Byli wykrwawieni do ostatka. Potracili swoich dowódców i przyjaciół, ludzi niezapomnianych. [...] To sprawiło, że patrzyli na sytuację z przeraźliwą jasnością. Nie mieli złudzeń. Gdy znaleźli się na Mokotowie, byli pewni, że przyjdzie tu im stoczyć jeszcze jedną śmiertelną i beznadziejną walkę. Żaden z nich nie spodziewał się, że przeżyje do końca” (Dobraczyński 1977, s. 284–285).

Stresory – teoria...

Ten krótki cytat pozwala wskazać kilka elementów z psychologii wojska, które odpowiednio dopasowane do badań nad Powstaniem Warszawskim, choć nie tylko, mogą pomóc lepiej zrozumieć

postawy walczących. Przyjrzyjmy mu się zatem bliżej.

„[...] walczyli zbyt długo”. W czasie II wojny światowej popularnym terminem odnoszącym się do urazów psychicznych żołnierzy stało się „zmęczenie walką” (Moore, Reger 2010, s. 190–191). Wśród jego objawów wymienia się: wyczerpanie, lęk, utratę koncentracji i motywacji, depresję, utratę pamięci i zaburzenia funkcjonowania fizycznego. Z cytowanych wcześniej opisów zachowań radosławowców bez większych obaw o słuszność założeń można wskazać wyczerpanie, utratę motywacji oraz depresję.

Do „zmęczenia walką” może się przyczynić jeden z czterech elementów, takich jak nagła ekspozycja, ekspozycja skumulowana, stresory fizyczne i problemy w kraju. W wypadku powstańców warszawskich (oraz ludności cywilnej) mamy do czynienia w zasadzie z każdym z tych elementów, choć wydaje się, że nagła ekspozycja z uwagi na powtarzające się sytuacje stresogenne nie powinna być brana pod uwagę. Częstotliwość ostrzału artyleryjskiego, bombardowań, stale powracające doświadczenie masakry urosły do takiego poziomu, że człowiek w zasadzie nie mógł być tym zaskoczony. Stały się one stałym elementem jego codzienności. Choć nie można całkowicie wykluczyć roli tego czynnika, ale nie mając wglądu w bezpośrednie reakcje ludzi na przeżycia z lata 1944 r., w ich systemy odniesienia, jesteśmy skazani jedynie na domysły.

Tym, czego możemy być niemalże pewni, jest występowanie pozostałych trzech czynników. Stała ekspozycja, tj. ciągłe doświadczanie sytuacji generujących stres, oraz sytuacja w kraju wydają się jasne. Zajmijmy się zatem bliżej stresorami fizycznymi. Według amerykańskiego psychiatry węgierskiego pochodzenia, Hansa Selye’a, „możemy określić stressor jako »to, co wywołuje stress«” (Selye 1960, s. 83).

Dzisiaj stresory wpływające na żołnierza są przedmiotem badań naukowców i licznych opracowań. Pierwsze prace odwołujące się do koncepcji stresora powstały już w latach 60. ubiegłego

wieku. Obecnie np. armia amerykańska wydaje poświęcone im osobne publikacje, jak liczący 224 strony *U.S. Army Combat Stress Control Handbook*, opublikowany w 2003 r.

Same stresory można podzielić na kilka kategorii. Idąc za Williamem P. Nashem, psychiatrą wojskowym Amerykańskiej Marynarki Wojennej, uczestnikiem walk w Iraku w latach 2004–2005, potrafimy wskazać ich co najmniej pięć: fizyczne, poznawcze, emocjonalne, społeczne i duchowe (Nash 2010, s. 23–35). Skupmy się na razie na pierwszej grupie. Nash wymienia kolejno: upał i zimno, odwodnienie i wilgoć, brud i błoto, pozbawienie snu, hałas i wybuchy, wzywy i wonie, jaskrawe światło lub ciemność, złe odżywianie oraz chorobę lub uraz. Każdy z tych stresorów bez problemu możemy odnaleźć w doświadczeniach powstańców warszawskich, zwłaszcza zaś mających za sobą tak długi szlak bojowy, jak podwładni Jana Mazurkiewicza. Co więcej, każdy z tych stresorów osobno potrafi osłabić siły życiowe człowieka – a co dopiero wtedy, kiedy występują jednocześnie.

... i praktyka

O tym, jak duży wpływ mogą mieć stresory na ludzi, może świadczyć to, że wielu powstańców starało się jak najszybciej opuścić szpital i wrócić do swojej jednostki. Według Nasha „nawet mało groźne choroby nie tylko powodują zmiany fizjologiczne, które potęgują zmęczenie i zmniejszają tolerancję na stres, lecz u wielu ludzi wpływają także na ich poczucie integralności (*wholeness*), kompetencji i pewności siebie. Jednakże gorsze pod tym względem od niegroźnych i przemijających chorób są urazy fizyczne, które na wojnie zdarzają się nierzadko” (Nash 2010, s. 27). Zjawisko wcześniejszych powrotów żołnierzy do oddziału nie jest subiektywnym odczuciem, ale faktem. Według danych opublikowanych przez Departament Obrony Stanów Zjednoczonych 23 czerwca 2006 r. spośród 18 752 rannych od 19 marca 2003 r. aż 10 064 wróciło ze szpitala do akcji, niejednokrotnie nie mając do końca zaleczonych urazów. Nash uważa wręcz, iż

żołnierz, który nie może wrócić do swoich kolegów, ma poczucie winy, że ich porzuca. Cytowany już Leszek Wójcicki, w trakcie walk na Starym Mieście dwukrotnie ranny, za każdym razem odmawiał odejścia od oddziału do szpitala. Raz jego prośba została zaakceptowana.

Jeśli więc spojrzymy jeszcze raz na liczbę żołnierzy, których „Radosław” przyprowadził na Mokotów, tj. około 200, i zestawimy ją z liczą tych, którzy mogli dalej walczyć, tj. prawie 50, to okaże się, że tych pozostałych 150 zostało postawionych w sytuacji, gdy mogli czuć, że nie wypełniają swojego zadania tak, jak powinni. Zwiększało to jedynie dodatkowo ich poziom stresu, i tak już od dawna przekraczający jakiegokolwiek akceptowane przez ludzki organizm granice.

Dobraczyński pisze dalej: „Potracili swoich dowódców i przyjaciół, ludzi niezapomnianych”. Nash jasno stwierdza, że więzi rodzące się między żołnierzami na wojnie należą do najsilniejszych występujących między ludźmi, a szok wywołany stratą towarzyszy broni dorównuje temu, jaki przeżywa matka po śmierci dziecka. Tymczasem opowieści weteranów „Radosława” (choć nie tylko) są pełne opisów śmierci kolegów i koleżanek. Jedne suche, ograniczające się do odnotowania samego faktu, inne zahaczające o opisy czysto literackie, tak jak we wspomnieniach Leszka Wójcickiego, który pod datą 25 września pisał:

Rów jest pusty. Kiwam ręką, że wszystko w porządku. Za mną skacze „Janusz”. Przeskoczył już przez ulicę, gdy od Królikarni rąbnęło działo czołgowe. Pocisk trafia „Janusza” i rozrywa całe jego ciało na części przed moimi oczami. Nogi osobno, ręce osobno. Oderwana od kadłuba głowa potoczyła się po jezdni. Wszędzie błyszczą krew, jak kałuże rozlanej czerwonej farby. Tak zginął kapral podchorąży „Janusz”, ostatni z dwunastu ludzi, którzy 29 lipca wyszli z powstania z ul. Pańskiej Nr 4 z kapitanem „Zgodą” i ze mną. Dalsze rozważania muszę odłożyć na później. Wojna musi się toczyć dalej.

Poza krwistością samego opisu naszą uwagę powinny zwrócić ostatnie dwa zdania. Wójcicki zdawał sobie sprawę z tego, że wtedy nie wolno mu było myśleć o tym, czego doświadczał. To też podkreśla Nash, kiedy pisze o doświadczeniu utraty bliskich. Żołnierze na wojnie nie mają czasu na myślenie. Żeby samemu przeżyć, muszą skupić się na tym, co ich otacza. „Muszą pozostać przynajmniej częściowo obojętni na swą stratę, magazynować żal i nieść jego brzemię, którego nie mogą z siebie zrzucić, aż wojna się nie skończy i przepracowanie tej straty nie stanie się bezpieczne”.

Powstańcy nie mieli jednak tej możliwości. Żołnierze „Radosława” dopóki znajdowali się na linii, czyli aż do Czerniakowa, kiedy jeszcze mieli siłę, aby walczyć, potrafili zdusić w sobie nagromadzony przez kilka tygodni żal i stres. Jednak wraz z dotarciem na Mokotów, gdzie w większości znaleźli się na tyłach, potracili hamulce. Urazy psychiczne zaczęły dawać o sobie znać w formie opowieści, na które narzekali Rokicki, Pytlakowski czy – w mniejszym stopniu – Dobraczyński.

Jest też inne wyjaśnienie takich zachowań. Naturalną reakcją żołnierzy na zmieniające się warunki na polu bitwy jest adaptacja (Murray 2014, s. 61). Tak jak ewoluują sposoby zabijania, tak samo udoskonalają się metody obrony. Być może część ludzi „Radosława” uznała, że przejawianie postawy niechętniej walce zwiększy ich szanse przeżycia. Ich decyzję mogło wzmocnić trwające od ponad półtora miesiąca doświadczenie masakry, jeden ze stresorów. Według ustaleń Leo Murraya odpowiednio wysoki poziom strat poniesionych przez oddział w czasie walki może doprowadzić do utracenia przez niego zdolności bojowej. „Pięć procent ofiar spowodowanych ostrzałem artyleryjskim obniżało efektywność oddziału o połowę, dziesięć procent wystarczyło, żeby efektywność spadła do zera”. Wraz z upływem czasu procentowy udział strat w zgrupowaniu rósł. W końcu masakra, jaką przyniosły ostatnie dni obrony Czerniakowa, mogła sprawić, że wielu ludzi

Mazurkiewiczza nie było zdolnych do podjęcia jakiejkolwiek walki. Zarówno z powodu urazów fizycznych, jak i psychicznych.

Znakomicie odmalował ten problem w swoim reportażu z wojny w Wietnamie Michael Herr, pisząc, że „bezpieczeństwo fizyczne wcale nie oznaczało końca problemów” (Herr 2016, s. 77). Świadomość pewnych wydarzeń, samo oglądanie koszmaru wojny sprawiają, że człowiek w pewnym momencie przestaje kontrolować to, co się z nim dzieje. „Poziomy informacji były poziomami strachu, jak już raz coś się wymsknie, to nie wepchniesz tego z powrotem, nie zniknie, żebyś nie wiem ile razy mrugał, świadomość to nie film i nie odtworzysz jej do tyłu”.

Zagadką pozostaje, dlaczego w tym samym czasie prawie 50 żołnierzy dowodzonych przez Janusza Stolarskiego potrafiło jeszcze wziąć czynny udział w starciach na Mokotowie. Być może to bliżej nieokreślona różnica w konstrukcji psychicznej, odporność na pewne doświadczenia pozwoliły im zachować siły odrobinę dłużej. Znaczenie może tutaj również użyte przez Murraya pojęcie „ciągłości”, tj. „siły wiążącej wewnętrznie niewielkie jednostki i mobilizującej je, by działały w sposób w miarę jednolity”. Oddział wojskowy jest traktowany przez jego członków jako „grupa totalna”, swoisty system odniesienia. Według Sönkego Neitzela i Haralda Welzera tenże oddział pomaga człowiekowi zachować orientację tam, gdzie inaczej byłaby ona niemożliwa (Neitzel, Welzer 2014, s. 35).

Tymczasem jeśli przyjrzymy się bliżej składowi osobowemu tego ostatniego plutonu „Radosława”, to okaże się, że jego trzon stanowili żołnierze jednego batalionu – „Czaty 49”. Być może więc ci, którzy brali udział w ostatnich starciach, robili to z poczucia odpowiedzialności za tych, z którymi od kilku tygodni walczyli dosłownie ramię w ramię. Poczucie własnego bezpieczeństwa stawało się dla nich mniej istotne od tego, żeby nie zawieść najbliższych towarzyszy. To jednak ponownie jedynie przypuszczenia.

Pytania na przyszłość

Tak jak zaznaczyłem na początku, to tylko szkic ukazujący niewielki wycinek obrazu. Pełne ujęcie problemu wymaga dalszych badań angażujących nie tylko szeroki wybór źródeł, odczytanych na nowo, skonfrontowanych z nowymi pytaniami, lecz także obecne, coraz dokładniejsze i obszerniejsze badania nad psychologią wojska i stresu. W Polsce powojennej przez długie lata nie prowadzono żadnych badań nad urazami psychicznymi spowodowanymi przez wojnę. W efekcie dzisiaj próżno szukać poważniejszych opracowań odnoszących się do tej tematyki.

To banał, ale trzeba to podkreślić – przyznanie się do urazu psychicznego, z którym sobie człowiek nie radzi, nie jest proste (Grenier i in. 2010, s. 299 i n.). Wymaga zaakceptowania tegoż zarówno przez cierpiącego z powodu urazu, jak i jego środowisko, a w dalszej perspektywie wsparcia w formie leczenia. W Polsce przez ponad dwadzieścia lat po wojnie lekarzy wojskowych obowiązywał formalny zakaz specjalizowania się w psychiatrii. Dopiero pod koniec lat 60. zaczęło się to zmieniać. Na zajęcie się problematyką zdrowia psychicznego żołnierzy po zakończonej wojnie trzeba było czekać z kolei aż do lat 90.

W takich warunkach trudno było o stworzenie systemu, w którym weterani Powstania Warszawskiego mogliby znaleźć dla siebie wsparcie. Można wobec tego przyjąć, że skoro społecznie problem nie istniał, to i w źródłach niełatwo znaleźć jego ślady. Tymczasem niemożliwe jest, aby coś tak traumatycznego jak Powstanie Warszawskie nie wpłynęło na psychikę jego uczestników, żeby nie „pogięło anteny i podcięło nóg”, jak ujął to Herr. Dlatego też takie znaczenie ma teraz nadrobienie tej luki. Może jest to nawet ważniejsze od odtworzenia jakiegokolwiek nieopisanego dotychczas fragmentu dziejów tego zrywu. Pomoże bowiem lepiej zrozumieć nie tylko nas samych, lecz także po raz kolejny podkreślić z całą mocą destrukcyjną potęgę wojny. Coś, o czym nigdy nie powinno się zapominać. Dzisiaj, kiedy w debacie publicznej ze strony polityków padają hasła o pokazywaniu pozytywnych aspektów wojny, wydaje się to

szczególnie istotne.

Redakcja językowa: Beata Bińko

Bibliografia:

- Borowiec A. (2017), *Chłopak z Warszawy*, Poznań.
- Dobraczyński J. (1977), *Tylko w jednym życiu*, Warszawa.
- Grenier S. i in. (2010), *Program wsparcia społecznego dla osób z urazami spowodowanymi przez stres operacyjny: program wsparcia koleżeńskiego – we współpracy z Kanadyjskimi Siłami Zbrojnymi i stowarzyszeniem „Sprawy Weteranów w Kanadzie”* [w:] *Stres bojowy. Teorie, badania, profilaktyka i terapia*, red. Ch.R. Figley, W.P. Nash, tłum. M. Dragan-Polak, M. Höffner, J. Radzicki, Warszawa.
- Hemon A. (2015), *Dwa razy życie*, tłum. T. Bieroń, Warszawa.
- Herr M. (2016), *Depesze*, tłum. K. Majer, Kraków.
- Ilnicki S. (2010), *Przedmowa do wydania polskiego* [w:] *Stres bojowy. Teorie, badania, profilaktyka i terapia*, red. Ch.R. Figley, W.P. Nash, tłum. M. Dragan-Polak, M. Höffner, J. Radzicki, Warszawa.
- Majorkiewicz F. (1972), *Dane nam było przeżyć*, Warszawa.
- Moore B.A., Reger G.M. (2010), *Stres bojowy i zespół do spraw kontroli stresu bojowego w perspektywie historycznej i współczesnej* [w:] *Stres bojowy. Teorie, badania, profilaktyka i terapia*, red. Ch.R. Figley, W.P. Nash, tłum. M. Dragan-Polak, M. Höffner, J. Radzicki, Warszawa.
- Murray L. (2014), *Psychologia wojny. Strach i odwaga na polu bitwy*, tłum. E. Zajbt, Warszawa.
- Nash W.P. (2010), *Stresory wojny* [w:] *Stres bojowy. Teorie, badania, profilaktyka i terapia*, red. Ch.R. Figley, W.P. Nash, tłum. M. Dragan-Polak, M. Höffner, J. Radzicki, Warszawa.
- Neitzel S., Welzer H. (2014), *Żołnierze. Protokoły walk, zabijania i umierania*, tłum. W. Grotowicz, Warszawa.
- Pytlakowski J. (1946), *Powstanie mokotowskie*, Wrocław.
- Rokicki J. (1949), *Blaski i cienie bohaterskiego pięciolecia*,

[Niemcy Zachodnie].

Selye H. (1960), *Stress życia*, tłum. J.W. Guzek, R. Rembiesa, Warszawa.

Wójcicki L.J. (1985), *Życie na stos*, Londyn.

Wyganowska-Eriksson A. (2010), *Pluton pancerny batalionu „Zośka”*, Gdańsk.